Rozmowa w zaświatach

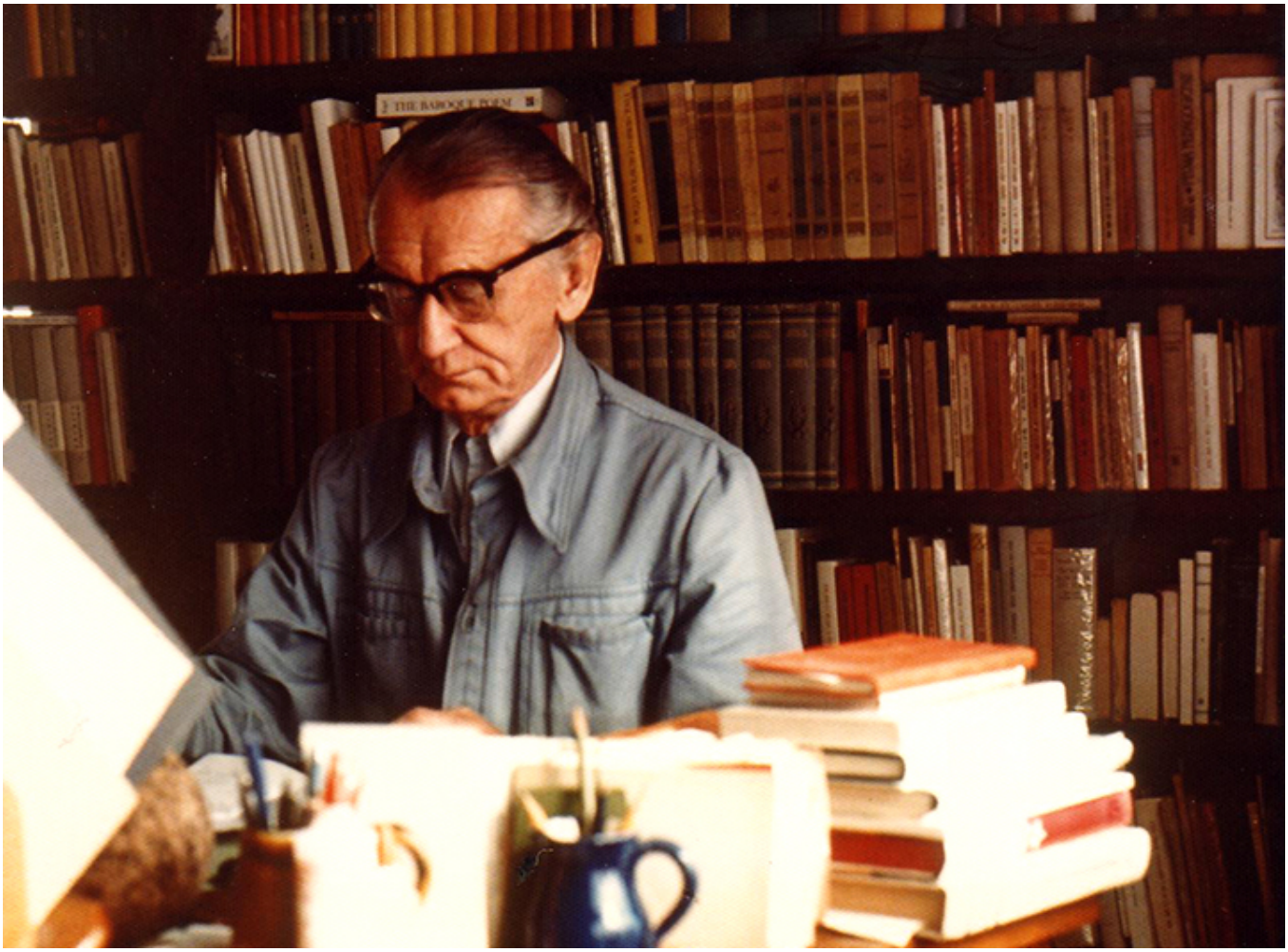

Tymon Terlecki w lutym 1977 r. w Chicago, biblioteka domowa, fot. arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Nina Taylor-Terlecka *(Oxford, Wielka Brytania)*

Bronisław Przyłuski odszedł w 1930 r. Tymon Terlecki, który go przeżył o 20 lat, wysoko cenił jego poezję.

Uprzejmościowa, pełna wzajemnej estymy, ich korespondencja nie odsłania głębszych wynurzeń natury osobistej. Co zatem ich łączyło za życia?

Jednolatkowie – jeden zodiakalny Wodnik, drugi Lew, urodzili się w rewolucyjnym roku 1905. Przyłuski w Siemierzu, Terlecki w Przemyślu, parę lat po sprzedaży majątku rodzinnego pod Jarosławiem. Obaj pochodzili ze zubożałej szlachty, obaj zostali wcześnie osieroceni: Przyłuski stracił matkę, gdy miał rok, Terlecki ojca, gdy miał trzy lata. Dzieciństwo Terleckiego było nie tradycyjnie wiejskie, lecz miejskie (w Przemyślu i Lwowie). Natomiast Przyłuski senior dzierżawił majątki na Lubelszczyźnie. Poza niefortunną wyprawą na jakąś szmirę prowincjonalną, o czym barwnie opowiada w autobiografii, pierwsze wrażenia teatralne Przyłuskiego wiążą się z spektaklem kolędowym okolicznych chłopów, jasełkami w kuchni czeladnej, z gwiazdą, turoniem i szopką, obrzędami dożynkowymi, andrzejkowymi i pasyjnymi. Terlecki natomiast wspominał *Betlejem polskie* Lucjana Rydla, które jako 7-letnie dziecko mógł obejrzeć w Przemyślu w styczniu 1913 r. w sali „Sokoła”, zagrane przez Polskie Towarzystwo Dramatyczne im. Aleksandra Fredry lub w sali braci salezjanów na Zasaniu w inscenizacji Towarzystwa św. Stanisława Kostki.

Po ukończeniu szkoły podstawowej obaj uczyli się dalej we Lwowie. Terlecki chodził tam do szkół im. Konarskiego (1915–16), Batorego (1920–24) i Długosza, Przyłuski od 1919 r. do gimnazjum matematyczno-przyrodniczego przy Korpusie Kadetów, do którego wstąpił. Nie ma dowodu, żeby się w tym okresie zetknęli, choć estetycznie wrażliwych nastolatków pewnie przyciągały te same galerie, zbiory malarskie i wystawy.

Po maturze każdy wybrał inny kierunek – Przyłuski karierę wojskową – ukończył Oficerską Szkołę Artylerii i Inżynierii w Toruniu i w latach 1925-32 służył w 14. Dywizjonie Artylerii Konnej w Poznaniu, a Terlecki studia polonistyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Obaj święcili debiut w 1930 r.: Przyłuski wierszem w Poznaniu, Terlecki wspomnieniem o zmarłym przyjacielu w prasie lwowskiej. Z poezją Przyłuskiego Terlecki mógł się zapoznać jako recenzent tomików poetyckich i okazjonalny animator wieczorów literackich w Kasynie Literacko-Artystycznym przy ul. Akademickiej lub podczas pobytu w Wielkopolsce z okazji kwerendy do pracy o Ryszardzie Berwińskim.

Gdy podczas kampanii wrześniowej, walcząc pod komendą generała Kleeberga, poeta został wzięty do niewoli pod Kockiem 7 października 1939 r., teatrolog Terlecki już przebywał w pierwszym obozie Wojska Polskiego tworzonego we Francji, w legendarnym **Coëtquidan**. Tam z kolegami zabrał się

bezzwłocznie do założenia pisemka obozowego, wkrótce promowanego do godności organu całych Polskich Sił Zbrojnych. W tym samym czasie w Oflagu VII A w Murnau, Przyłuski angażował się w zakładanie teatru amatorskiego, pisał sztuki i rewie, zdobywał szlify aktorskie na improwizowanej estradzie, redagował pismo *TO*, czyli *Teatr Obozowy*.

Gdy po upadku Powstania Warszawskiego słynny reżyser Leon Schiller pojawił się w oflagu Murnau, Przyłuski z kolegami „wzięli go na garnuszek", gotując mu na knotach łojowych – jak później wspominał – zepsute niemieckie kartofle z amerykańską wołowiną i polską wędzonką. Przy tym ostro dyskutowano o sztuce. Wkrótce Schiller włączył się do życia artystycznego obozu; właśnie prowadził próby dramatu poetyckiego Przyłuskiego *Hiob*, kiedy armia amerykańska wyzwoliła obóz (29 IV 1945).

Od razu nawiązuje się nić wspólnoty. W przedwojennej Warszawie Terlecki współpracował z Schillerem w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, towarzyszył mu w pracach organizacyjnych, przygotował program studiów teatrologicznych. Po wojnie krótko miał nadzieję, że da się go ściągnąć na emigrację. Wspomnienie obozowe Przyłuskiego ukazało się w specjalnym numerze *Wiadomości* (nr 44, 1955 r.) poświęconym Schillerowi, a zainicjowanym i zredagowanym przez Terleckiego.

Już po przybyciu Przyłuskiego do Londynu, obaj panowie spotykali się w teatrze, na łamach *Wiadomości*, w siedzibie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Żona Terleckiego, Tola Korian, niejednokrotnie koncertowała w Mabledon Park, gdzie Przyłuski kierował świetlicą. W recenzji z *Pastorałki małoszowskiej*, granej w „Ognisku" w 1952 r. przez zespół amatorski z Mabledon, Terlecki przywoływał wzór *Pastorałki* Schillera, a inscenizację Przyłuskiego zapamiętał na zawsze.

Z Radiem Wolna Europa Terlecki współpracował od 1952 r. jako tzw. wolny strzelec. Wyróżniony w konkursie RWE za utwór literacki (1953 r.), Przyłuski od 1958 r. miał etat w Monachium, gdzie m.in. zastępował Romana Palestra w czuwaniu nad realizacją słuchowisk. Mimo że etatowa praca nie sprzyjała warsztatowi poetyckiemu, jego monachijskie lata cechuje bogata twórczość radiowa. Pisał ambitne dramaty radiowe, o rozmachu wręcz wizyjnym, żeby wymienić chociażby *Chustę Weroniki* czy *Rozmowę drzew* opartą na staroangielskim *Dream of the Rood*. Znad Tamizy Terlecki – autor audycji dla przedwojennego Polskiego Radia – przesłał w okresie kilkunastu lat ok. 40 adaptacji. Trzon jego dorobku radiofonicznego to teatr liturgiczny, dramat chrześcijański; jego adaptacje na antenę mają najczęściej wymiar metafizyczny.

Nawet zaciekli teatromani nie samym teatrem żyją. Obu panowie oddawali się pasjom malarskim. Wielbiciel i subtelny znawca

malarstwa, Przyłuski przekładał swoje przeżywanie piękna na wiersze. Swoisty *musée imaginaire*, jego tomik *Strofy o malarstwie* składa się na liryczny podręcznik po historii sztuki. Interesuje go nie kopia rzeczywistości, lecz wizerunek wszechświata. Fascynują go prapoczątki sztuki jaskiniowej, Fra Angelico i Giotto, Piero della Francesca i Ghirlandaio, mistrzowie holenderscy, Michał Anioł i Bellini, Celnik Rousseau i Rouault, aż po kubistów i postkubistów. Doszukuje się wszędzie pierwiastka metafizycznego, mistycznego, gdyż istotą sztuki jest dla niego świętość, a pobożnego Giotta z pierwszym poganinem łączy wyczucie czy odczuwanie *sacrum*. Duchowość zespala się ze zmysłowością, zauroczeniem barwami: pisząc o Tycjanie poeta twierdzi, że w kolorze jest zbawienie. Nie jest przypadkiem, że tomik ten Przyłuski zadedykował Marianowi Bohuszowi-Szyszko, który z kolei dla Terleckiego był przede wszystkim malarzem inspiracji religijnej, pędzlem i paletą przemieniającym materię w światło o wymiarze mistycznym. Bohusz-Szyszko zresztą obu panów sportretował w różnych okresach.

Bronisław Przyłuski, fot. arch. Barbary Gaździk, Londyn.

Polityka tylko pozornie dzieliła Przyłuskiego i Terleckiego. Pierwszy na emigracji był nielewicującym członkiem PPS, drugi należał do Polskiego Ruchu Wolnościowego Niepodległość i Demokracja, przed wojną zaś, jako radykał społeczny we Lwowie, do Zespołu Stu. Z żyjących poetów szczególnie sobie cenili Józefa Wittlina. Wspólna też była fascynacja Bolesławem Leśmianem, którego wpływ odczuwa się zwłaszcza we wczesnej twórczości Przyłuskiego.

Terleckiemu poezja Leśmiana kojarzyła się z wielkim olśnieniem w latach choroby, spędzonych w zakopiańskim „Bratniaku", gdzie zbiorowe przeżycie *Łąki* stało się wstrząsem. Tamte wspólne lektury „miały coś z mistycznych inicjacji orfickich", a doznany zachwyt „stał się religią czynną. Organizowaliśmy dla profanów zebrania wtajemniczające". Konkludował:

> To może nie jest złudzenie, że z tej poezji płynęło w nas zdrowie, wola życia, zajadła determinacja walki ze śmiercią. To już może być złudzenie, że około tego czasu zaczęliśmy jakby nieco rzadziej umierać.

Esej Terleckiego o Leśmianie pochodzi z 1948 r., rok wcześniej wydał z ramienia Stowarzyszenia Pisarzy Polskich *Łąkę* i *Traktat o poezji* (1947), rękopis *Traktatu* zakupił od wdowy. Z okazji 20. rocznicy śmierci poety Przyłuski napisał wstęp do wydanych przez Veritas *Klechd polskich*. Wraz z Terleckim uczestniczył w wieczorze leśmianowskim urządzonym przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Instytucie im. gen. Sikorskiego (22 I 1957 r.), na którym występowali także Mieczysław Giergielewicz, Herminia Naglerowa i Tadeusz Sułkowski; wiersze czytała Tola Korian.

Innym wspólnym obiektem zainteresowań Przyłuskiego i Terleckiego był zmarły w 1926 r. austriacki poeta Rainer Maria

Rilke, który zajmował poczesne miejsce w galicyjskim panteonie literackim. Cieszył się swoistym kultem w środowisku intelektualnym Lwowa, tłumaczył go m. in. Józef Wittlin. Mimo że Terlecki wyniósł ze swej szkoły austriackiej znikomą znajomość języka niemieckiego, został w 1931 r. skłoniony do wygłoszenia odczytu we lwowskim Kasynie. Nie znał wówczas przekładów Wittlina, za to podkreślał wyjątkowe walory niewydanego jeszcze przekładu Stanisława Maykowskiego (ówczesnego kierownika literackiego *Słowa Polskiego*) *Pieśni o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke*. I zakończył swoją prelekcję: *„Incipit mysterium poesiae*. – Poczyna się misterium poezji". Potem dwoje przyszłych londyńczyków, Ewa Kuncewiczówna (żona Schillera) i Leopold Pobóg-Kielanowski recytowali utwory poety.

Był to jednorazowy wyczyn Terleckiego. Natomiast długoletnie obcowanie Przyłuskiego z autorem *Elegii duinejskich* ukoronował w 1977 r. przekład wspomnianej *Pieśni o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke*, wydany przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie.

W eseju o Leśmianie Terlecki pisze:

> Bo każda prawdziwa poezja jest łaską wzmożonego życia, łaską pocieszenia i umocnienia w życiu.

O zbiorowym czytaniu w latach zakopiańskich twierdził, że

> osobiście nigdy przedtem, nigdy potem nie przeżyłem takiej wspólnoty przyjaźni, braterstwa, porozumienia.

Mimo, że poeta i krytyk nigdy za życia nie wypili bruderszaftu, czas pozaziemski pozwala na odrabianie zaległości. Spacerując po wielkiej galerii kosmicznej miłośnicy teatru, poezji i malarstwa mają o czym rozmawiać. Dialog w zaświatach trwa. Może warto mu się przysłuchiwać.

Artykuł ukazał się w „Przeglądzie Polskim" dodatku do nowojorskiego „Nowego Dziennika".

Nina Taylor-Terlecka o Bronisławie Przyłuskim:

https://www.cultureave.com/bronislaw-przyluski-poeta-dramaturg-i-czlowiek-teatru/

Bronisław Przyłuski – poeta, dramaturg i człowiek teatru.

Londyn, Grosvenor House

Nina Taylor-Terlecka *(Oxford, Wielka Brytania)*

Wirujące na balu emigracyjnym pary – zafraczeni panowie, tęczowe panie – mogą nie wiedzieć, że w głębinach gmaszyska

hotelu *Grosvenor House* w Londynie pracował po wojnie jeden z najsubtelniejszych i ciekawszych poetów polskiej emigracji politycznej.

Mowa o Bronisławie Przyłuskim, zawodowym oficerze Wojska Polskiego, dramaturgu, twórcy radiowym, aktorze. Mieszkając w dzieciństwie w Siemierzu, w Tomaszowie Lubelskim, w Dołędze, w Świątnikach, w Małoszowie (uwiecznionym później w misterium bożenarodzeniowym), od maleńkości oglądał wszelkie wiejskie widowiska: topienie Panny w wiosennej kałuży, wianki i skakanie przez ogień na św. Jana, dożynki i Andrzejki. Znał jasełka grane w kuchni czeladnej na Boże Narodzenie, kolędników przychodzących z okolicznych wsi z gwiazdą, z turoniem, z szopką, a także „pasję wielkanocną z Piłatem i apostołami, i Judaszem, która co roku grana była na placu przed kościołem".

Po szkole w Kielcach, Przyłuski uczęszczał do I Korpusa Kadetów we Lwowie, gdzie zdał maturę. Miał w dorobku już dwa tomiki poetyckie – *Badyle* (1932) i *Dalekie łąki* (1935), gdy wojna wybuchła. Jako żołnierz kampanii wrześniowej walczył pod bezpośrednim dowództwem gen. Kmicic-Skrzyńskiego (Brygada Podlaska) w ramach samodzielnej grupy operacyjnej "Polesie" gen. Kleeberga. Walczył pod wsią Dmochy, pod Michałkami, pod Domanowem, w okolicy Kocka i Stoczka, za co otrzymał Krzyż Srebrny orderu Virtuti Militari V klasy. Walczył do kresu, czyli do

decyzji gen. Kleeberga o kapitulacji brygady i złożeniu broni w leśniczówce Ofiara (rejon Głowa). Wzięty do niewoli 6 października 1939 r. pod Kockiem, został wywieziony do oflagu VII A w Murnau, w górnej Bawarii.

Dzięki świetnemu, niezamierzonemu przez Niemców doborowi współwięźniów, Oflag VII A w Murnau okazał się bogatym tyglem wpływów, bodźców, inspiracji intelektualnych i artystycznych. Żeby bronić się przed załamaniem, jeńcy-oficerowie uprawiali kółka kulturalne, urządzali odczyty, prowadzili teatr amatorski, założyli też pismo pod nazwą „Teatr Obozów". W takich warunkach Przyłuski znów porwał za pióro: dostarczał część do libretta operetkowego *Najukochańsza żona maharadży,* w której to operetce sam też grał, pisał rewie (*Sen*, *I to minie*) i skecze do widowisk muzycznych *Kapryśna Afrodyte* oraz *Kochaj i tańcz*. Przerabiał, parafrazował, dopasowywał do możliwości scenicznych obozu *Ptaki* Arystofanesa, *Kłopoty Babuni* Bolesława Prusa i komedyjkę P. G. Wodehouse'a *Panna czy rozwódka*.

Również spontanicznie, jak gdyby na wezwanie losu, został aktorem. Pierwsze kroki estradowe postawił najpierw w rewiach, potem w tzw. żelaznym repertuarze. Występował w *Zaczarowanym Kole* Lucjana Rydla, w fredrowskim *Gwałtu, co się dzieje!* i w *Domu otwartym* Bałuckiego. Ale jednocześnie nurtowały go inne, szeroko zakrojone, wątki i tematy. Gdy Leon Schiller pojawił się w Oflagu VII A (było to po upadku Powstania

Warszawskiego), Przyłuski z kolegami wzięli legendarnego reżysera na garnuszek, gotując mu na knotach łojowych – jak poeta później wspominał – zepsute kartofle niemieckie z amerykańskim *beefem* i polską wędzonką. Przy tym ostro dyskutowano o sztuce. Schiller wkrótce włączył się do życia artystycznego obozu i właśnie prowadził próby dramatu poetyckiego Przyłuskiego p.t. *Hiob*, kiedy armia amerykańska wyzwoliła oboz (29. IV. 1945).

Pobyt w Murnau zaraził Bronisława Przyłuskiego bakcylem teatru na zawsze. Nie zniechęcił go ponury klimat powojennej Anglii, dokąd przybył w 1946 r. jako *dipis*. Pewnie jako mieszkaniec dziurawej beczki w obozie pod Leominster uważał, że teatr stanowi jedyną odtrutkę na nieustający kapuśniaczek i wszechogólną anglosaską szarzyznę. Na przekór wykorzenieniu i pogodzie szlifował stare wiersze, pisywał też nowe, urządzał spektakle, pochody, obchody i akademie, współinicjował parę inscenizacji. Gdy na wiosnę 1949 r. zwolnił się z wojska, pojechał do Londynu z myślą o pracy w teatrze emigracyjnym.

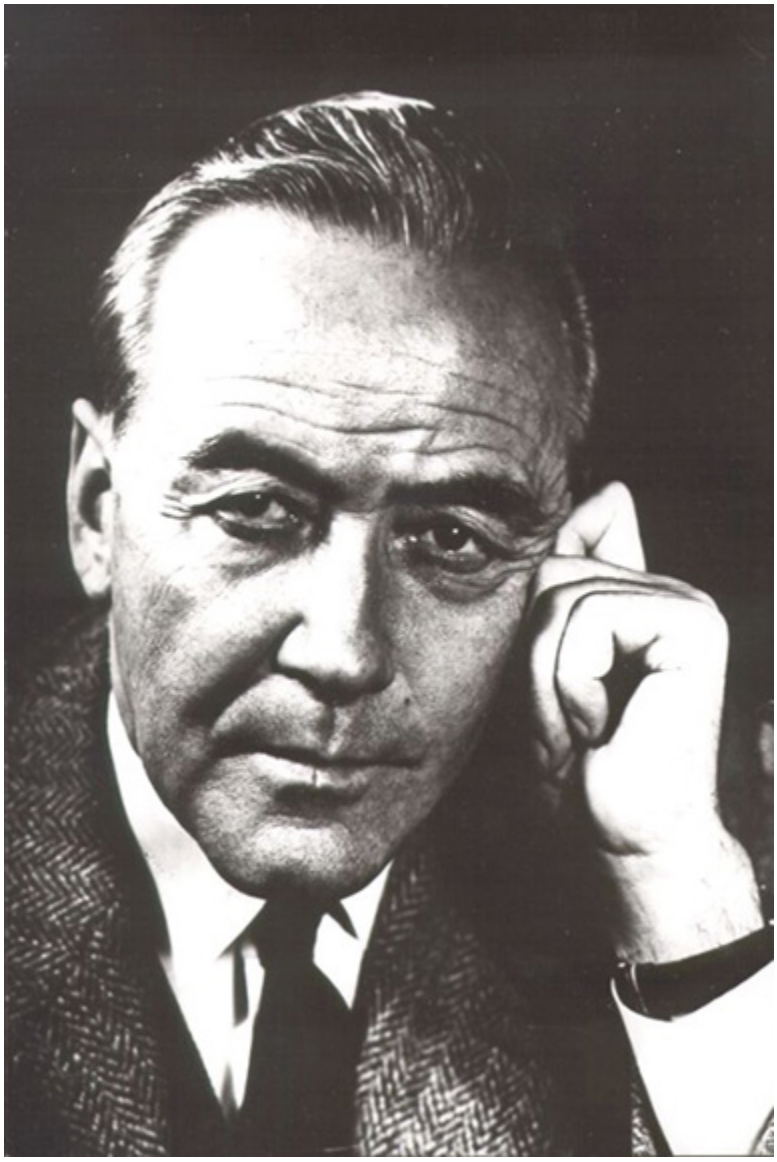

Bronisław Przyłuski, fot. Biblioteka Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Były to waleczne i bohaterskie lata polskiego teatru na obczyźnie, teatru – tak jak niegdyś teatr Wojciecha Bogusławskiego – wędrownego. Za 4 funty tygodniowo trzeba było wszystko umieć – nie tylko rolę. Jak pisze w szkicu autobiograficznym:

> Rzemiennym dyszlem ruszyliśmy na Anglię. Sami budowaliśmy scenę, nosiliśmy dekoracje, przebieraliśmy się i

> wreszcie gralismy. Po przedstawieniu rozcharakteryzowanie się, przebieranie, rozbiórka sceny i ładowanie na wóz. Coś przełknąć i jazda dalej. Niektóre przeloty mieliśmy po 200 mil. Odwiedzaliśmy zapadłe kąty, gdzie w beczkach gnieździli się Polacy dumni, że do nich przyjechał teatr. Grywaliśmy na scenach ze stołów, to znów na betonie hangarów. Dekoracje trzymały się na słowo honoru na drutach jak na pajęczynie. Dachy ciekły, światło gasło, a myśmy grali.

Dopóki grywano farsę i lekką komedię, publiczność dopisywała. Sytuacja się popsuła, kiedy zechciano przystąpić do ambitniejszego repertuaru. Właśnie na przedstawieniu składanki Słowackiego pt. *Listy do Matki*

> ...wywróciliśmy się gruntownie. Kasy mieliśmy coraz mniejsze. Obozy zawiodły zupełnie, wysyłały właściwie tylko delegacje. Pamiętam jeden obóz liczący 1000 mundurów, w którym ilość osób na widowni była mniejsza od ilości aktorów. Potem jeszcze jedna sztuka i jeszcze jedna i trzeba było myśleć o innym zajęciu.

W tych wczesnych latach powojennych Przyłuski grał w *Kwaterze nad Adriatykiem* Napoleona Sądka w reżyserii

Leopolda Kielanowskiego, wcielił sie w Hrabiego D'Albafiorita w *Oberżystce* Carla Goldoniego. Celował w rolach amantów. Ale jeżdżąc zepsutym wozem Tespisa, nie rozstawał się z twórczością. Zaczynał pisać tym razem rzecz na scenę: *Pastorałkę* (w *Pastorałce* Schillerowskiej grał już w pierwszym „sezonie" w Murnau). Rozjazdy i spektakle rozpraszały go, wybrał więc pisanie. Na rzecz poezji Przyłuski niejednokrotnie zrzekał się pracy zarobkowej i żył z oszczędności żeby móc tworzyć w słowie, wracał do zarobkowania dopiero gdy sakiewka świeciła pustkami.

W ten sposób pewnego głodem grożącego dnia trafił jako tragarz do lochów pod gmaszyskiem hotelowym *Grosvenor House*. Tam wylądował w zakamarkach, dla eleganckich klientów zazwyczaj niedostępnych.

> I jeszcze w dół, i jeszcze w dół. Fala dusznego smrodliwego gorąca objęła mnie jak sirocco. Byliśmy na dnie, na samym dnie, w kuchni. Olbrzymia hala pełna migających ludzi zziajanych, spieszących się i spoconych.

W tych podziemnych połaciach poeta-oficer-zubożały szlachcic herbu Lubicz czyścił ruszty, mył kotły i zlewy, szorował posadzki.

> Zwłaszcza szorowanie między rozpalonymi blachami wypija z człowieka resztki sił. [..] Jedyny odpoczynek to obieranie chłodnych kartofli. Toteż przy kartoflach zawsze był ścisk. Siadaliśmy w krąg w kartoflarni i moczyliśmy rozpalone ręce w chłodnej wodzie za każdym gotowym kartoflem.

Było jednak lżej po awansowaniu na pracę w lodowni. Mroźne to piekło przedstawiało – jak na powojenną Anglię, wciąż jeszcze na kartki żywnościowe – krainę z bajki, pyszną martwą naturę nie dla wszystkich zapowiadającą ucztę Lukullusa.

> Codziennie przychodziły kosze z dziczyzną i kurami; 3000 kur, pardwy, bażanty, gęsi, kaczki, cietrzewie, głuszce (głuszce wyglądały jak orły, ze złożonymi skrzydłami, z dziobami krzywymi jak haki – wielkie, ciężkie, półroczne ptaszyska spały u mnie na półkach między kurami obdartymi z piór i gotowymi w każdej chwili do garnka. [..] Poza tym bloki masła, sera, połcie boczku, płaty łososia, pstrągi, homary, raki...

Bieganie na każde wołanie zupiarzy, sosiarzy i pieczeniarzy, popychanie wózków załadowanych bananami, grejpfrutami i mrożonymi truskawkami, nie przeszkadzało w wykoncypowaniu

nowych wierszy, przeszkadzało tylko w zapisywaniu i szlifowaniu. Przyłuski znowu porzucił pracę zarobkową, a po wyczerpaniu kasy, wrócił do harówki fizycznej, tym razem w kolejce podziemnej przy stacyjce *Willesden Green*. Tam, niepomne na huk i turkot żelastwa, wiersze mu wytryskiwały spod kół wagonów, zza zatrzaskanych drzwi wind, rodziły się pomysły zuchwałe, wręcz monumentalne.

Londyn, okolice stacji Willesden Green, stara pocztówka.

Pod tym względem zatrudnienie w szpitalu psychiatrycznym *Mabledon Park* stanowiło nienajgorsze rozwiązanie. Zaspakajało wymagania warsztatowe, zapewniało *minimum vital*. Leczenie nerwowo chorych polegało m. in. na ich uczestnictwie w

imprezach kulturalnych. Jako świetlicowy Przyłuski organizował odczyty, zapraszał artystów, poprowadzał teatr amatorski. Wkrótce doszło do prapremiery jego *Pastorałki Małoszowskiej*, wyreżyserowanej przez niego, z udziałem jego podopiecznych szpitalnych. W ocenie recenzenta, który zapamiętał to przedstawienie do końca życia, utwór został ujęty

> jako rudymentarne widowisko wiejskie, odgrywane przez kolędników i szopkarzy dla wiejskiej publiczności, (...) prymityw ludowy zobaczony oczami, ogarnięty uczulonym słuchem poety, oświetlony światłem tęsknoty, wzruszenia i zachwytu.

Pastorałka Małoszowska nie opierała się wyłącznie na wspomianej tradycji z lat dziecinnych. Przefiltrowana przez soczewkę przeżyć wojennych, wizja wigilijna Przyłuskiego była odarta z nadleciałości literackich figli, z scenek rodzajowych, z postaci utrwalonych w szopce krakowskiej czy w *Betlejem* Rydlowskim. Zwłaszcza postać Heroda nabiera realizmu i aktualności politycznej, a Śmierć występuje jako kronikarka-oskarżycielka, gdy przemawia do ludobójcy:

> Pamiętasz miasta spalone,

> Pamiętasz spalone wsie?
>
> Zboże kulamiś siekł
>
> I płomieniamiś płonął.

Pośród popularnych kolęd pastorałkowych, przeplatających się z łacińskimi tekstami liturgicznymi, doniośle brzmiała przepowiednia, składająca się na pacierz ówczesnego emigranta, że Nowo Narodzony

> podniesie chorągiew między narodami
>
> I zgromadzi wygnańców
>
> I rozproszonych zbierze
>
> Od czterech stron świata.

Spełnienia tej modlitwy Bronisław Przyłuski nie doczekał się. Chory na astmę umarł nagle 11 kwietnia 1980 r. Za to w stulecie urodzin doczekał się pełnego zbioru wierszy pod redakcją Justyny Chlap-Nowakowej, ze wstępem Anny Frajlich (wyd. ARCANA).

Tymczasem – jadąc kolejką podziemną przez stację *Willesden Green* lub popijając herbatę pod żyrandolami *Grosvenor House,* warto sobie uświadomić że właśnie tam i w podobnych lokalach znajdują się katakumby polskiej poezji emigracyjnej.